XXVII. Kraków, 1 kwietnia 1924 r. Nr. 7.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 95 (dom własny) Telefon Nr. 479

PRENUMERATA miesięczna z przesyłką pocztową Mp. 2,450.000. —
Zagranicą podwójnie. W Ameryce rocznie **8 dolarów.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem

Numer pojed. 1.200.000 Mk W Warszawie do nabycia wszędzie. W Łodzi Biuro dzienników „Promień" Piotrkowska 51.

Podmuchy wiosny



— „A cóżto za wiatr niecnota
tak sukienkę mi podwiewa!"
— Ach panienko moja złota —
zaszumiały wiosną drzewa.

— Poruczniku, czy to ładnie?
Proszę się odwrócić zaraz —
— Wszak chcę pomóc — rzecze zdradnie.
Wielki z suknią tą ambaras...

— Ależ dmucha! — kpi z niej Staszek
— Całkiem wszystko leci ze mnię!
— Suknia fruwać chce, jak płaszek.
Wiosna... trzymasz ją daremnie.

A koło nich piesek mały
oblizuje się z uciechy...
— „Co za kąsek doskonały.
Słowo daję, warta grzechu."



Przylot bocianów

Już do nas z za morza przybyły bociany,
Już ciągną sznurami z południa w nasz kraj.
Rozgląda się bociek pośpiechem zdyszany.
Wszakże to już wiosna.. Niedługo już maj!

Ach! patrzą bociany i oczom nie wierzą:
Śnieg, błoto i chlapa, pogoda, jak czart!
A cóż to u licha?! tu śniegi wciąż leżą?!
Ten Prima Aprilis szeląga nie wart!!!

— Hm... Cóż tu nowego? Co słychać rodacy?
pytają ciekawie. — Czy lepiej już jest?
Ach! nowy rząd macie?... Stajecie do pracy.
Nareszcie, nareszcie... Największy to gest!

„A jak tam z drożyzną? — „O, zmniejsza się, zmniejsza.
Dolara wziął djabeł, paskarzy zmiótł wiatr — — —
Lecz jedna wieść przyszła od innych smutniejsza:
Źle stoją nam sprawy graniczne z za Tatr...“

Lecz nagle bociany stuknęły się w czoło.
— O sprawach fachowych zapomnieć tak, pfe!...
Jakże tam z potomstwem — spytajmy wokoło —
Badają, spuszczają dziób w kwintę: „O źle!“.

„Tu pani Sadowska w Lesbijkę się zmienia,
Tam jakiś klub mężczyzn kobietom rzekł: pas!
Uczciwa się miłość usuwa do cienia
I coraz mniej matek widzimy wśród was...

Obudźcie się ludzie! Na alarm bić trzeba!
Dziobami zastukać do okien, do drzwi...
Już wiosna... Bociany witają was z nieba.
Hej! spójrzcie do góry! To boćki, to my!!!







„Dwójka“.

Z tragedji krakowskich tramwajów.

Nieszczęśliwy redaktor „Bociana“ wzdychał. Zmuszony codziennie jeździć do biura straszliwie powolną „dwójką“ aż na ostatni przystanek za „Krakowskim Parkiem“ przeżywał istne męczarnie duchowe i fizyczne.

Okropny, rozklekotany wehikuł podrywając się bohatersko do lotu z pod Marjackiego kościoła wlókł się, stękał, sapał, dzwonił, kiwając się na boki, podskakując i poddrygując i przystając często — gęsto na zakrętach. Co chwila psuł się biedny, dychawiczny wóz, psuły się kable, wyłączał się prąd i trzeba było specjalnego szczęścia, by dojechał wreszcie na miejsce przeznaczenia.

Otóż pewnego razu jadąc tak i martwiąc się na ławeczce wszczął rozmowę z przygodnym pasażerem, który mu opowiedział następującą historję:

— Wyszedłem raz z żoną do miasta dla porobienia sprawunków. Objuczony jak wielbłąd chciałem już wracać i ucieszyłem się widząc na rynku naszego weterana „dwójkę“.

— Wsiadaj prędko — nagliłem żonę.

— Nie kochanie — odparła — mam jeszcze wstąpić do przyjaciółki i skoczyć z nią razem na Florjańską, wybrać materjał na bluzkę. Jedź do domu sam, powrócę niedługo.

— I poszła w miasto — a ja wsiadłem do tramwaju w nadziei, że przecież elektryczność szybciej mnie zaniesie na miejsce przeznaczenia, niż własne nogi.

— Jak długo jechałem — niewiem.

— Ale wyobraź pan sobie, gdym wysiadł na ostatnim przystanku, ujrzałem tam oczekującą mię niecierpliwie małżonkę, która przez ten czas załatwiła już wszystko.

O, biada wam, biada ludzie jeżdżący krakowskim tramwajem.

— Później dopiero dowiedziałem, że moja wierna żona nietylko biegała z przyjaciółką do sklepu, ale złożyła dyskretną wizytę pewnemu młodemu człowiekowi i zdążyła mię przez ten czas trzykrotnie zdradzić.

Redaktor wysłuchał, powstał i zemdlał...

Zasłabł tak bardzo, że karetka Pogotowia odwiozła go do szpitala — a numer „Bociana“ z tego powodu się opóźnił...

W Wierzchosławicach.

Kwitosik: Powiedzcie kumie co to jest *unikat*, bo nikiej nie rozumiem.

Paskopiastek: E? nie wicie to?

Kwitosik: A nie.

Paskopiastek: Ano kumie, to je tak. Unikat to taki chłop, co unika baby, co nie lubi z kobitami chodzić.

Kwitosik: Tera to jus wiem... Ale jak się bedzie wtedy nazywoł taki chłop, co za babami chodzi?

Paskopiastek (krótko i węzłowato): *Duplikat.*

■■■

Obrysowywanie ręki.

(*Autentyczne*)

W jednym z nader eleganckich i dystyngowanych towarzystw krakowskich zabawiano się w salonie ożywioną towarzyską rozmową.

Jeden z panów zaproponował paniom pewne ciekawe doświadczenie.

— Niech pani położy rączkę na papierze rozstawiwszy palce, a ja odrysuję kształt jej ołówkiem. Zobaczycie panie jaki to interesujący eksperyment.

Wtajemniczeni wiedzieli o tem, że pierwsze słowa jakie którakolwiek z dam wypowie, w czasie obrysowywania ręki określą wrażenia i słowa jej wypowiedziane, w czasie jej nocy poślubnej.

Inicjator tej zabawy przystąpił do dzieła.

Pierwsza z pań zniecierpliwiona długotrwającem obrysowywaniem zapytała w końcu:

— Czy ja mam odczuwać przytem jakieś wrażenie psychiczne?

Druga:

—Właściwie to ja nic nie odczuwam. Zupełnie tak, jakby mi szewc brał miarę na buty.

Trzecia — krótko i węzłowato:

— No — już!?...

Czwarta:

— Czy pan tak długo może?

Piąta, typowa przedstawicielka ciekawości kobiecej:

— A czy to można robić naodwrót?

Prima Aprilis.

Prima Aprilis — to mi heca,
Prima Aprilis — to mi dzień!
Świat cały słońcem się rozświeca
I radość czuje nawet pień.

Ten tego buja, ten się śmieje,
Z uciechy trzyma się za brzuch.
Ach, gwałtu, rety, co się dzieje,
Cóż to za zamęt, co za ruch..

Listy pieniężne bez pieniędzy,
Tyle wydarzeń, wszystko żart —
Wszystko się miesza coraz prędzej,
Jak tasowana talja kart.

— Twój mąż przyjechał... — Boże, Boże!
Aj, co to będzie, ratuj się,
On ciebie w gniewie zabić może — — —
— Prima Aprilis — niema tak źle!

— Ach mój najdroższy, niespodzianka,
W błogosławiony wpadłem stan.
On blednie — śmieje się kochanka.
— Prima Aprilis — nie drżyj pan!

W ten dzień się w lot wykręcisz sianem.
Mąż wpada nagle, już ich ma...
— Jak śmiesz bezwstydna— z obcym panem!
— Prima Aprilis — ha, ha, ha!

A więc wam „Bocian" wieści o tem,
Że święta zgodę zawarł świat,
Paskarz Bank Polski wspiera złotem,
Waluciarz oddał to, co skradł.

Partje całują sobie pyski,
Bez opozycji włada rząd
Niedoli naszej koniec bliski,
Zawiści bratniej zagasł lont.

Wprawdzie to wszystko bujda, blaga,
Lecz dziś udaje człeka cień
Dzisiaj w kąt poszła prawda naga.
Prima Aprilis — dobry dzień!

■■■

Wszystkim, kto chce i niechce.

(*„Difficile est satiram non scribere."*)

Kto to powiedział, kiedy i dlaczego to przecież wszystko jedno i nikomu nic do tego. Faktem jest zato niezaprzeczonym, że tych parę maleńkich, niewinnych wierszy zawiera w sobie tyle fenomenalnie mądrej i roztropnej treści, tak naga prawda leży przed nami w całym blasku w ich miniaturowem łożu, że trudno jest nie podziwiać jej i nie wielbić.

No bo jakże, tyle złości, tyle przewrotności, tyle obłudy tańczy wokoło nas w zawrotnym korowodzie, że aż włosy dębem stają na głowie. Moralność (tą pseudo—) siadła na łysą kobyłę świętoszkowatej dewocji i jeździ na niej z taką pewnością siebie i pychą, jakby poza nią nic już dobrego i godziwego na tym padole płaczu nie było.

— Wio, wista — pogania, strzela z bata.

— Gdzie mam jechać? — pyta parszywa kobyłka.

— Wszystko jedno gdzie? Tu, tam i ówdzie. Co na drodze to nieprzyjaciel! Rżeć, gnać, deptać, tratować, miażdżyć...

— Co?

— Zło, nieprzyzwoitość, bezwstyd, bezczelność, kokoty, kurtyzany, kabarety, kokiety, pudrowane twarze, cienkie pończoszki, dekoltaże i przedewszystkiem, prze-de-wszy-stkiem pisma niemoralno-pornograficzne (sic!) w rodzaju „Bociana".

— Aha teraz już wiem — śmieje się rozradowana kobyłka przebierając z wdziękiem powłóczącemi nóżkami. — Teraz już wiem! Hajda na Bociana!...

— Hajda na „Bociana!" — powtarza wielokrotnie echo krzyk wszystkich zamaskowanych dewocją umysłowych kalek i oto rozbrzmiewa nagle tysiąc ochrypłych, bezmyślnych głosików, jak pozytywka, jak puzon, jak nakręcony gramofon.

Dla Boga! Ten okrzyk wzburzonych mas przypomina nam zaiste ów „ostatni" zajazd na Litwie i... „hajda na Soplicę!"

Obyż był ostatni.

Oby już raz wreszcie otrząsła się nasza opinja i nasza czytająca publiczność z belestu śmiesznego moralizatorstwa i „świętych oburzeń"

O kulturo zachodnia!

O wytworne „sans gene" Francuzów...

O cudowna nieprzyzwoitości wesołych Europejczyków z „la vie Parisienne" i innych szerzycieli rozpusty.

Wzywam was, błagam, wołam przybądźcie nam z pomocą. Wypuśćcie pierzaste strzały swego kłującego dowcipu i szturknijcie mocno sztylecikiem wyrafinowanego kpiarstwa w czułe miejsce spróchniałych, zmurszałych mamutów i nosorożców nadwiślańskich obolałe od przydługiego siedzenia we filisterskich fotelach i uwędzone dymem przypalonego na wolnym ogniu, smażonego na męczeńskim palu prawdziwego humoru i wesołej blagi.

Szturkajcie, kłujcie, drapcie, ekscytujcie jak tylko możecie najmocniej drodzy koledzy z Zachodu..

Może podskoczą, może się poruszą, może się zmienią.

Panowie i panie! Do djabła! Precz z kultem przeklętego bałwana fałszywego wstydu. Odnowić się, przefasonować, roztopić zamrożone serca we wrzątku serdecznego śmiechu.

Ano! dalej —

Krzyczcie..

Ale głośno, aby was wszyscy słyszeli, że odwołujecie błędy, że pokutujecie, że w kacerstwie obmierzłej obłudy nie trwacie już więcej.

Powtarzajcie za nami:

„My starzy, śmieszni, opaśli brzuchacze nie będziemy już więcej opluwać złośliwą, jadowitą śliną was śmiałych, zdrowych, wesołych i lekkoduchów. Chcemy się śmiać, śmiać i śmiać raz jeszcze, aż nam rozirzęsą się brzuchy i opadną i przestaną przeszkadzać w radosnem zbijaniu bąków razem z wami po ulicy.

Ha ha ha!

Hi hi hi!

Hu hu hu!

Będziemy chichotać, piszczeć i dławić się od śmiechu! Będziemy zrywać boki sobie i innym machać kozły na ulicach i puszczać na wiatr baloniki dziecinne.

My chcemy być ciency, wysmukli i zwinni.

My chcemy być pogodni, beztroscy i słoneczni.

My chcemy bawić się, figlować i szaleć.

My profesorowie o długich, uroczystych brodach chcemy puszczać bańki i w przerwanego króla zabawiać się na plantach.

My poważni radcowie i dyrektorzy chcemy chodzić na rękach i stawać na głowie na samym środku rynku.

My podmarszczone z lekka matrony chcemy poganiać patyczkami obręcze, skakać przez sznurek i podrzucać djabolo aż do samego nieba.

My fryzjerzy, kelnerzy i subjekci chcemy się tarzać ze śmiechu po chodnikach.

„Bocianie" opowiedz nam jakieś najnieprawdopodobniejsze koszałki — opałki, podaj nam nowe, kapitalne kawały, nowe przyrządy do wywoływania wesołości na jaw, na światło dzienne i na nasze przedwcześnie postarzałe troską oblicza.

Wszyscy na ulice. Będziemy biegać tam i z powrotem po mieście, kułakować się, gonić i stroić miny!

Ze wszystkich tatów zrobimy warjatów
będziem „a kuku" krzyczeć damom w oknie
będziem umyślnie pokrzywiać się światu
który w szarudze „codziennych dni" moknie.
Powykręcamy śrubki z maszyn wszystkich
my robotnicy z fabryki tytoniu
będziem na plantach oberwane listki
liczyć i fikać koziołki na błoniu.
Żeby wesoło było, żeby ładnie
damy w nos szczutka sobie wszyscy naraz
niechaj świat cały z pieca na łeb spadnie
i ten jedyny tylko ma ambaras:
Smiać się i tańczyć i pląsać i krzyczeć,
udawać konie, osły, psy i koty,
trąbić i śpiewać, miauczeć i skowyczeć
by więcej było tańca i ochoty...
Ale à propos...

Doszły nas słuchy, że w murach starego Poznania wytoczono na nas ciężkie haubice i ropoczęto kanonadę, która ma nas zabić, zniszczyć, zgnieść, jak karakony i zadeptać nad nami ziemię, aby już po nas ślad żaden nie pozostał.

Pięknie poznanianki, czyż to się godzi?

Fe, wstyd i hańba!

„Bocian" wam bruździ, „Bocian" wam dokucza ten biedny, poczciwy, a tak użyteczny ptaszek? Ależ gdyby nie to niewinne stworzenie, bodaj że nie byłoby was na tym świecie. Gdyby nie on, któż zwiastował by nam wiosnę i różne inne arcyprzyjemne nowiny przylatując ku nam z południa.

Gdyby nie jego imiennik wreszcie, ten papierowy „Bocian" o którego sie wam szczególnie — wam wrażenie — rozchodzi, któżby pocieszał strapione i znękane dusze, któżby rozweselał oblicza miłośników kobiety i humoru, wielbicieli dystyngowanego „dessous" w zacisznym buduarze.

Wszakże wam także oczy lśnią się cudnie
i przez pończoszki czar nóżek prześwieca,
a więc czyż godzi się gniewać obłudnie
(chociaż obłuda to jest rzecz kobieca).
Ach! czyżby do was dostępu nie miały
żadne wzruszenia i figle Erosa,
flirt, pocałunek i romansik mały
i „perskie oko" puszczone z ukosa?
Nie, moje panie, któżby temu wierzył?!
Wy eleganckie, wytworne i śliczne..
Czyż nie pragniecie by się kult wasz szerzył
pomiędzy tłumów zamęty uliczne?
Naga kobieta!? Ależ co u licha,
czy to grzech jaki, czy to jakie zbrodnie
— czy i z was każda do tego nie wzdycha
by się w zaciszu rozebrać wygodnie.
W tem pornografji nie widzimy wcale...
To jest finezja i wdzięk i swoboda.
Różane ciałko, żądnych ust korale
— ależ kobieta od tego jest młoda!..
Więc piękne panie z zachodniego miasta,
dość też fałszywej ciuciubabki z wstydem,
gdyby się tak z nim *liczyła* niewiasta
to nie kobietą byłaby, lecz... Żydem.
Zdrada małżeńska, lesbijskie uciechy,
kąpiel we wannie i kąpiel w pieszczotach
— ależ to nie są takie wielkie grzechy
by o nich „Bocian" nie mógł zaklekotać.
Więc nie pomogą wasze straszne gniewy,
wasz okręt złości na rafie osiędzie
a z tej pocisków wybrnąwszy ulewy
„Bocian" jak dotąd był, tak i dalej będzie.

Anegdota perska.

Spotkało się na ulicy dwu Ormian.

— „Jakże się miewasz kochany Karabet!

— „A, dzień dobry Ambarcun! Co słychać u ciebie, jakże ci się powodzi?

— Niech djabli wezmą takie powodzenie. Bardzo, bardzo źle mi się powodzi!

— ? ? ?

— Gram obecnie w orkiestrze na dworze szacha perskiego.

— No a cóż w tem złego?

Och! ja gram na przeklętym instrumencie!

Cóż to za instrument?

— Na... flecie!

— Bardzo miły instrument, Karabet.

— Nieprawda! Zaraz ci to udowodnię...

— Słucham.

— Wyobraź sobie: Pewnego razu orkiestra grała tak ładnie, że szach zadowolony kazał w nagrodę każdemu z muzykantów nasypać pełen jego instrument dukatów. Aj, aj, aj!! Ileż złota zmieściło się w basie, ile w trąbie, ile w kornecie,.. nawet do klarnetu można było coś nasypać. W jeden tylko mój przeklęty flet, nie wlazł ani jeden grosik. Na drugi raz kiedy orkiestra źle grała szach w pasji kazał każdemu z muzykantów wsadzić jego instrument tam, gdzie żaden szanujący się przedmiot znaleść się nie powinien. I — słyszysz Ambarcun — żaden inny instrument tam się nie zmieścił tylko mój przeklęty flet wlazł cały, aż do siódmej klapki.

— Masz rację! — pokiwał głową Ambarcun. — Widzę teraz, że flet to naprawdę przeklęty instrument.

Lesbijka Mimi



Ach... Alicja mnie zdradza. Widziałam dziś zrana
jak biegła do mieszkania przewrotnej Allani.
Moje oczy ją widzą, jak z szat rozebrana
nagi akt swój przytula do ciała tej pani.

Zapomniała niewdzięczna, jak dobrze nam było,
gdyśmy razem się kładły na miękkie poduszki...
Miała piersi tak drobne, czuprynkę tak miłą
i tak dziwnie misterne maleńkie paluszki.

Tak ją bardzo pieściłam, tyle cudnych nocy
przeżyłyśmy we dwójkę, tyle chwil niebiańskich,
tak ją bardzo kochałam, gdy łkała w mej mocy
jak kapłanka w obłędzie misterjów pogańskich

A teraz inna dama posiada jej wdzięki
inna słyszy szept ust jej i jej oddech wchłania
inna zdziera z jej bioder jeewabne sukienki
innej ona się drżąca całować nie wzbrania.

Dobrze... Niechaj mnie kocha i pieści mężczyzna
na złość tobie niewierna w rozpuście zatonę
niech mnie męskiej lubieży zabije trucizna
i szponami rozedrze me serce szalone.

Czekaj! będziesz zazdrościć i powrócisz do mnie,
gdy się dowiesz, że z chudym pawianem się pieszczę.
Zapłaczesz, pożałujesz, zatęsknisz ogromnie
i powiesz: „Przyjdź znów, Mimi i kochaj mnie jeszcze!"

Sen rogacza



Czy moja Nel mnie zdradza? djabeł wiedzieć raczy!
choć rzecz pewna, że jestem starym gratem dla niej!
A zresztą — czyżby nawet mogło być inaczej —
ja jestem gruby mieszczuch, ona „piękna pani".

Kosztuje huk pieniędzy, jakto zwykle żony,
które lubią się bawić, ubierać i „bywać"
zgoda, niechaj kosztuje miljardy, biljony,
lecz niech złota mojego na „grzech" nie zużywa.

Wszak jest grzechem opłacać podłego kochanka
pieniędzmi uczciwego, solidnego męża,
jest grzechem, gdy noc całą do białego ranka
w jego dzikich pieszczotach swe ciało rozpręża.

Nie mam wprawdzie dowodów – któż pewność mieć może?
lecz wszystko świadczy o tem, że haniebnie zdradza!
Jej namiętność nie kwitnie na moim ugorze
więc sobie młodych mężczyzn czarnoziem sprowadza.

I oto sny okropne po nocach mnie dręczą
sny, jak larwy, jak zmory zrodzone gdzieś w piekle,
jakiś szatan mię ściska stalową obręczą,
i w moją łysą pałę drwinami rżnie wściekle.

I dzisiaj, kiedym zapadł w poobiedną drzemkę
śniło mi się, że bocian z niemowlęciem w dziobie
sfrunął ku mnie – (widocznie zabłądził pociemku..
ja chyba w przyszłym życiu coś takiego zrobię).

Ale, gdym się zdumiony dokoła rozglądał
za szklannych drzwi zasłoną ujrzałem ze strachem
coś, cobym w owej chwili najmniej widzieć żądał:
moją żonę niewierną ze złodziejem – gachem.

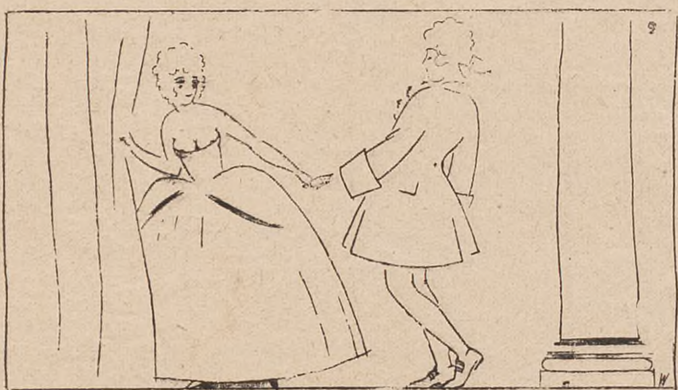
Dwa złowrogie ich cienie, jak tygrysów para
ściskały się, całując i tuląc zawzięcie,
Ach! wiem już skąd to dziecię! Anegdotka stara:
Łysy rogacz je od nich otrzymał w prezencie.

Nieuswiadomieni



Nieświadomość uchodzi za cnotę —
Ale częściej tylko upokarza.
I fatalną może sprawić psotę,
Gdy naiwnie trwa aż do ołtarza.

Bo co potem? — Ot — nareszcie sami!...
Tysiąc tajnych rozkoszy ich czeka.
Lecz nie wiedzą.. Zwróceni plecami,
Zawstydzeni milczą — Noc ucieka..





Nauczony tak przykrą przygodą
Młody markiz wnet wziął się na sposób
I po wiedzę, starodawną modą,
Poszedł sobie do „wesołych" osób.

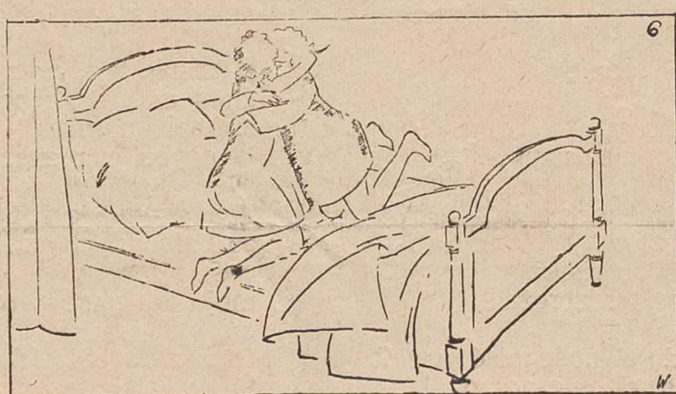
A markiza dziwnie rozstrojona
Poszukała tuż nauczyciela —
I poznała w ramionach dragona
Rozkosz, jakiej WIEDZA nam udziela





Hurra! — wiem już jak postąpić z żoną. —
Woła młodzian z radosną ochotą —
Jakże błędnie dotąd mnie uczono!
Taka Wiedza — to najszczersze złoto.

Hop! hop! mężu — dłużej nie trza zwlekać
Woła żona i wieje chusteczką,
— Nocy darmo nie damy uciekać,
Bo masz dzisiaj już mądrą żoneczkę.



Padli sobie w ramiona radośnie
Pewność siebie i radość wróciły
I napewno zapomnieli o śnie,
Ucząc siebie nawzajem co siły...

I odtąd żyli spokojnie i gładko,
wiedząc, co z sobą czynić im wypada,
nie mówiąc nigdy o owym wypadku.
Wszak to ich pierwsza i ostatnia zdrada.

Tylko, że...

Mówię, że kocham ją stale,
Że miłość jej mnie odradza.
Tylko, że ona w to wierzy,
Do pasji mnie doprowadza!

Świat wciąż podziwia jej stroje —
Nosi rajery i plusze
Tylko, że ja je opłacam
Ze złości prawie się duszę.

Przyjaciół mych z domu pędzi
Broniąc mi z nimi kontaktu
Tylko, że śpi u nich czasem
Uważam to za brak taktu.

Gotuje czasem obiady
Których nie jadłaby psiarnia
Tylko, że ja to jeść muszę
Rozpacz mię czarna ogarnia.

Jest piękna, dobra i miła
Wszyscy to mówią bez przerwy,
Tylko, że jest moją żoną
Działa mi djablo na nerwy. *W.*

W szkole.

Profesor wykładając chłopcom o powinnościach jakie mają spełniać w życiu późniejszem względem swoich rodziców (ma na myśli naturalnie podporę jaką powinni stanowić). Zapytuje nagle jednego z uczni: No, Ecki powiedz mi, jak myślisz, kiedy rodzice mają największą przyjemność ze swoich dzieci?

Na dziewięć miesięcy przed urodzeniem panie profesorze!

■ ■ ■

Im niżej kobieta upada, tem częściej zmuszona jest się podnosić.

Pogłoska.

Nasz korespondent warszawski depeszuje: Warszawa, 31 III. 1924 r.

W kołach lewicowych utrzymuje się pogłoska, że jutro dnia 1 kwietnia mają delegaci wszystkich związków faszystowskich na tajnem posiedzeniu omówić, który z przywódców miałby w razie udania się zamachu stanu, nobilitowanym być jako pierwszy książe (a la Włochy).

Władze bezpieczeństwa, które sprawę tą zwąchały, są jednak stanowczo zdecydowane niedopuścić do zgromadzenia.

Na godzinie historji.

Na godzinie historji wykłada profesor Piguła o Dziewicy Orleańskiej i konstatuje z przerażeniem, że trzech jego uczni śpi w najlepsze.

— Ależ to niesłychane! — woła w najgłębszem oburzeniu profesor. — Wczoraj spał Migzalski na Marji Stuart, a dzisiaj śpi aż trzech na Dziewicy Orleańskiej! Skutki będą fatalne! Ostrzegam poraz ostatni!

Nieporozumienie.

— A teraz idę do mojej żony i położę się do łóżka. Radzę panu to samo uczynić..

— Bardzo chętnie, jeśli tylko nie przeszkodzę panu...

■ ■ ■

Na cel dobroczynny.

Na dobroczynnym balu zauważono iż młoda i piękna żona starszego i niepięknego dyrektora X. znikła z balu razem z młodym i prawie pięknym oficerem Z.

Przy bufecie omawiają tę kwestję w pikantny i złośliwy sposób.

— Ależ moi panowie — zauważa jeden z panów — oni przecież się ulotnili *na cel dobroczynny.*

Podsłuchane.

Wczoraj opowiedział pewien mecenas w kawiarni następujące zdarzenia:

Pan i pani P. na letnisku podwieczorkowali zwykle w ogrodzie pod gałęzistem drzewem, gdzie się wiele ptaków gnieździło.

Byli przyjaciółmi dobrej, śmietankowej kawy i taką im podano. — Aromat i wygląd serwowanej kawy był bardzo zapraszający, a gdy pan P. chciał się nią delektować, spadło z góry w jego kawę — ptaszyna prawdopodobnie nie zauważyła, że pod nią ludzie siedzą — coś z wnętrza ptaka.

Gdy pan P. był tem niemile dotknięty i rozgniewany stratą dobrej kawusi, pani jego roześmiała się kurczowo.

Na to oburzony p. P. do swojej żony:

Radość że szkody drugiego nie jest wcale na miejscu. Śmiejesz się z tego co mi ptak wyrządził.

Gdybym ja Tobie to zrobił, to z pewnością nie byłabyś tak rozweseloną.

■ ■ ■

Fujara.

Pan Staś chwali przed panią Zosią jej nieobecnego męża jako wysoko cenionego uczonego, doznającego wielkiego miru u młodzieży.

Pani Zosia: E, mój mąż jest „fujara".

Pan Staś: Pani profesorowa żartować raczy, bo wspomniała przecież niedawno, że podczas kilkuletniego przebywania między góralami, wyuczyła się grać koncertowo na fujarce.

Pani Zosia (spuszcza oczy): Pan, panie Stasiu, ma zawsze takie myśli...

Zmodernizowane przysłowie.

— Patrz, patrz! Ten młody Pastykalski trzyma się tak z daleka od towarzystwa pań, jakgdyby od nich uciekał.

— Nie dziwię mu się! *Kto się raz lapisem sparzy ten na zimne dmucha...*

■ ■ ■

Order Białego Słonia.

Porucznik kawalerji Fonsio hr. Wodołebski był wściekły.

— No bo phoszę ja kogo, co za ohdynahne świństwo! — wołał zaperzony Fonsio — Skąd ja phzychodzę nosić ohdehy, zaghaniczne, kiohe mi nada np. Libehja, Pahaguaj, czy khólowa Madagaskahu?.. Pyszny jest ten nasz Sikohski ze swoimi pomysłami!

Fonsio Wodołebski, który pomimo zniesienia tytułów rodowych w Polsce, podpisywał się i kazał tytułować hrabią, miał dziwną abominację do orderów.

— Nienawidzę kotyljonów! — mówił w gronie swych towarzyszy z którymi nie systematycznie, ale zato bardzo dokładnie puszczał ogromny majątek odziedziczony po ojcu.

— Żart żartem! — zawołał książę Piesio — zapalając wonne cygaro — Będziesz musiał włożyć ten order zagraniczny, który otrzymałeś za uratowanie dwóch pneumatyków automobilowych misji argentyńskiej.

— Kawaler „Żywego Towaru Argentyńskiego" — zaskuczał Luś Jaxa Rtęciński — Nasz Fonsio niech żyje!

— Ani mi się śni nosić ten ohdeh! — zawołał oburzony Fonsio.

— A czytałeś rozporządzenie M. S. Wojsk. w tej sprawie? — zapytał słodko Laluś Czarnokawski, kolega z pułku Fonsia - Chyba dokładnie o tem przeczytałeś, że oficer w czynnej służbie nie może odmówić przyjęcia orderu zagranicznego, bo inaczej wylatuje z czynnej armji... Ten Sikorski, dobre ma pomysły!... Ani słowa!...

— A ja mu zhobię kawał, że Polska o nim mówić będzie! — zawołał Fonsio — Założę sobie ten ahgentyński ohdeh, a ophócz tego zamówię sobie u khóla Sjamu ohder „Białego Słonia" za 300 fhanków szwajcahskich. Ten ohdeh jest tak duży, że zasłoni całą piehś, a wstęgi zasłaniają całą szyję. Zobaczymy jak ja będę wyglądał na ulicy z temi ohdehami... Daję wam słowo honohu, że taki ohdeh sobie fundnę! Niech pękają w M. S. Wojsk!...

— A czy taki order każdy może dostać? — spytał z niedowierzaniem ks. Piesio.

— Natuhalnie! Za 300 fhanków wydaje kapituła Khóla Jegomości Sjamu każdemu taki ohdeh... Khól Jegomość jest w ciągłych kłopotach pieniężnych...

— A więc zakład o kosz szampana, że takiego orderu nie dostaniesz! — zawołał Luś Jaxa Rtęciński.

— Stoi! — Gdy ohdeh ten othzymam zaphoszę was do siebie na wieś, gdzie czekam na twój szampan.

Stoi!

*

Po dwóch miesiącach zawiadomił hr. Fonsio swoich przyjaciół, iż order „Białego Słonia" ze wstęgami nadszedł pocztą. Luś Jaxa Rtęciński kupił kosz szampana za przegrany zakład i w towarzystwie kolegów wyruszył do Ulęgałek, gdzie w pałacu swoim Fonsio ich czekał.

Wypito kosz szampana i jeszcze dwa i oglądano potężny order „Białego Słonia" który mógł śmiało zasłonić tors gladjatora.

- Ładnie będę tehaz wyglądał! — wołał rozweselony hr. Fonsio. Pan Sikorski będzie zadowolony!... Wszak nie wolno odmówić noszenia ohdehu zagranicznego...

— A czy serjo każdy może za 300 franków dostać taki order? — zapytał Laluś Czarnokawski.

— Natuhalnie! Nawet mój byk rozpłodowy dostanie taki ohdeh, jeśli poślę 300 franków za niego.

- Stoi zakład, że twój byk nie dostanie takiego orderu! — zawołał podochocony Luś Jaxa Rtęciński. - Stoi o tych 300 franków i o trzy kosze oryginalnego francuskiego. - Stoi! Znowu phzeghasz! zawołał hr. Fonsio. — Mój byk dostanie też ohder „Białego Słonia" do dwóch miesięcy.

*

Po dwóch miesiącach przyjaciele znowu znaleźli się w Ulęgałkach hr. Fonsia.

Czekano w salonie na posłańca, który poje chał na pocztę do miasteczka, skąd zaawizowano hr. Fonsiowi nadejście przesyłki z Sjamu.

— Zobaczysz Lusiu, że mój byk dostał ohder! — wołał hr. Fonsia, zacierając ręce. — Twój szampan kazałem już hozpakować... Sphóbuj, całkiem dobry! Phosit!

Hr. Fonsio był w najlepszym humorze.

*

Przyjechał wreszcie posłaniec z poczty.

Przywiózł miast dużego etui, tylko list od Kapituły orderu „Białego Słonia", w którym mistrz kapituły tego orderu, donosił dosłownie: *„Orderu Białego Słonia nie możemy nadać bykowi mylorda, gdyż kapituła nasza zasadnicze nie nadaje orderów dwom członkom tej samej rodziny"...*

Wilek.

Właściciel i wydawca: Czesław Lipiński. Odpowiedzialny redaktor T. Borzęcki. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane" pod zarządem L. Gronusia (firma Friedlein)

W łaźni pod Messalką



Jak tu ciepło, jak miło... Przyjemne mnie drescze,
jak ciarki wskróś przechodzą, gdy w te progi wstąpię,
codzień, gdy się z kochankiem szalonym popieszczę
biegnę tutaj do łaźni i cała się kąpię.

W sznurowanych sandałkach po mokrej posadzce
idę biała i piękna, jak tancerka Rzymu
i czuję, jak w tej mojej leniwej przechadzce
kąpielowy mię śledzi głodnemi oczyma,

Odsuwa fałd kotary. We wnętrzu łazienki
woda, woda gorąca, jak pantera złota...
Gładki jedwab jej skóry się tuli do ręki
i łasi się do nóg mych jej cicha pieszczota.

A gdy blady służący z za fałdów się wsunie
i pyta, czy ma podać jedwab, prześcieradła
staję przy nim i czuję że dziś przy mężczyźnie
w samych piekieł bym czeluść bezsilnie upadła.

Zapominam o wszystkiem, o mężu, o świecie
i mój wierny kochanek wymyka się z serca
— jest tylko „on" mężczyzna przy „onej" kobiecie,
i widzę, jak płomiennym mię wzrokiem przewierca.

Więc opuszczam powieki wstydliwa i drżąca
i w spragnione ramiona się garnę w pośpiechu,
krzyk wyrywa się z serca, jak płomień ze słońca
i biorę nową kąpiel, krwawą kąpiel grzechu...!